NUMER 49. DNIA 16. GRUDNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Adam Mickiewicz w „Trybunie ludów“.

(La Tribune des peuples par Adam Mickiewicz, Paris 1907).

(Ciąg dalszy).

Gdy mu zarzucają spiskowanie, Mickiewicz mówi, że chce „postępu organicznego, prawidłowego i legalnego“. Zaiste trudno nam wyobrazić sobie Gustawa w maskaradzie konspiratorskiej, szamotającego się w usiłowaniach bezharmonijnych. Dla Mickiewicza rewolucja dąży do prawowitości, do tego, by stać się władzą prawidłową, do dyktatury, jakby się dziś wyrażano. Znać na Adamie wpływ politycznej literatury francuskiej. Ale poeta nasz chciałby przeskoczyć przez morze krwi na „placu narodu“, przez walki bratobójcze i widzieć już harmonijny pochód rewolucji francuskiej, której synem mieni się być. Przytem jest on Polakiem, a jako Polak uważa się za „obywatela Europy“ w przeciwstawieniu do Francuza i chce już widzieć Francję rewolucyjną w Europie. Więc odrywa oko od wojny domowej i mówi: „We Francji armja stała się urządzeniem najbardziej francuskiem; to armja wywalczyła zwycięstwo dla zasad Rewolucji; to do armji uciekli się jako do ostatniej instancji Dantonowie, St. Justowie i Napoleon“.

I oto poeta staje nad przepaścią w swym biegu szalonym do tworzenia historji. My tę przepaść widzimy, bo historję tylko piszemy.

Tworzyć historję! W 1849 r. Mickiewicz organizuje legjony dla sprawy włoskiej i nawołuje rewolucjonistów włoskich do „środków rewolucyjnych“, bo w rewolucji trzeba być rewolucjonistą, trzeba działać i zwalczać apatję oraz lenistwo. Gdy mu mówią, że Włochy rewolucyjne „nie mają pieniędzy“, pyta się on wodzów powstania, dlaczego Radetzki znajduje w kraju środki dla hord austrjackich i zarzuca im, że pozostawili siły krajowe dla wrogów krajowych.

Mickiewicz jest Mazzinim, jest republikanem z zasady, a tem bardziej dla Włoch ówczesnych, którym republika łatwiej mogła nadać jedność. Ale idee muszą być wcielone w czyn, a wyzwolenie i jedność Włoch, to idea pierwsza, więc wita Karola Alberta, gdy staje na czele ruchu wolnościowego, wita w nim czyn rewolucyjny, tak samo zresztą, jak to zrobił Mazzini i inni.

We Francji Mickiewicz jest z ludźmi z 15. maja*) 1848 roku i z ludźmi „ruchu“ oraz idei nowych. Czasami staje on niemy w obec długich rozpraw teoretycznych w Zgromadzeniu narodowem, które prowadzą Proudhon lub Considerant. Co mają znaczyć te bezowocne debaty o wierzeniach poszczególnych w chwili, gdy wszelka wiara zasadnicza znika? Mickiewicz ma dla swych przyjaciół słowa wymówki. Mickiewicz jako *civis* Europy cierpi na tem, że jego przyjaciele są tylko członkami sekt. I odwraca się poeta od słów, marzy o czynach i snuje namiętnie wątek swej idei napoleońskiej.

IV.

Mickiewicz uważał siebie za socjalistę. Czy dziś można powiedzieć o nim, że miał światopogląd socjalistyczny? By odpowiedzieć na to zapytanie, musimy nie upuszczać z uwagi, że socjalizm za dni naszych przechodzi przez przesilenie, nie powiemy stanowcze, ale charakterystyczne. Socjalizm, jako buchhalterja wszechświatowa, unaradawiająca i zaprowadzająca uniwersalne księgi handlowe firmy Europa i Spółka, wywołuje już tylko uśmiech na ustach. Socjalizm jako ruch robotniczy, pełen wyłączności

*) Dnia 15. maja tłum 150.000 otacza izbę i z okrzykiem „Niech żyje Polska“ chce skłonić rząd do polityki rewolucyjnej wewnątrz i na zewnątrz.

klasowej, gdy jest w rękach żywiołów drobnomieszczańskich, rzemieślników, dorobkiewiczów, lub *bohème* publicystycznej, znalazł rywala prawowitego w związkowym ruchu iście robotniczym, który zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że jest tylko cząstką o g ó l n e g o ruchu reformatorskiego. Socjalizm, jako przeciwstawienie indywidualizmowi, zaczął tracić kredyt z chwilą, gdy z jednej strony sam w swej zapamiętałości bezmyślnej zapędził się w biurokratyzm frondujący, a z drugiej strony, gdy z indywidualizmu zasypanego klątwami coraz silniej występuje zdrowa myśl społeczna. Pozostaje socjalizm jako przebudzenie świadomości prawowej, że stary ustrój ulega i musi ulegać zmianom. Jakim? Tego nikt przewidzieć nie może, bo drogi dziś otwarte mogą wydać się nam jutro nietylko za wąskiemi, ale i sprzecznemi z nowoprzebudzoną i udoskonaloną świadomością prawową.

Dla Mickiewicza, który w szczegóły projektów reform nie wchodził, jak i nie wchodziła pani Sand, socjalizm był przedewszystkiem przeciwstawieniem o r l e a n i z m o w i, nie jako sprawy dynastycznej, ale jako światopoglądowi etyczno-politycznemu.

Orleanizm bowiem jest według Mickiewicza systemem, który podporządkowuje naród interesom grup lub jednostki. Kiedy w Paryżu — po Waterloo — witano wojska najezdnicze z okrzykiem „Niech żyją nasi przyjaciele — nieprzyjaciele“, był to początek orleanizmu, zwyrodnienia etyki społeczno-narodowej. Zwyrodnienie to przechodzi w system, który wszystko rozstrzyga w zależności od pytania: „Ile mi to przyniesie?“ Kupować i sprzedawać, oto cały obieg krwi żywotnej tej epoki, która „popisuje się filozofją i zasadami rewolucji w ten sam sposób, w jaki szlachta na dworze Ludwika XV. popisywała się herbami rycerzy z pochodów krzyżowych“. Polityka kraju staje się polityką „bez Boga, bez ojczyzny, bez zasad“. Idea narodowa zanika; wiemy wszak, jaką była polityka zagraniczna Francji z owych czasów, która każdą podłość i każdą obelgę sobie samej wyrządzoną sankcjonowała słowami „faktu spełnionego“.

W owe czasy nawet socjalizm „czysty“ zamienił się w „materjalizm“; poeta ma na myśli szkołę Saint Simonistów, której członkowie wybitniejsi przerzucili się do wielkiego przemysłu i do urządzeń finansowych. Ale socjalizm może być innym, może być wyrokiem śmierci dla świata starego.

Słowo „socjalizm“ jest nowem i według poety zrodziło się w dniach lutowych 1848. Jest to niedokładność zrozumiała, bo słowo samo zaczęło mieć znaczenie dla Mickiewicza z chwilą, gdy zaczęło ono być wyrazem pewnej w o l i. Cóż z tego — dodaje poeta — że słowo jest nowem? Czyż słowo rewolucja i rewolucjonista nie są również słowami nowemi?

Socjalizm zjawił się w chwili, gdy papież i królowie stracili wszelki autorytet żywy. „W tej ruinie dogmatów, tradycyj, a nawet przesądów społecznych, ludzie, którzy zachowali wiarę w postęp ludzkości i którym na sercu leży los narodu, musieli z konieczności szukać nowych zasad i nowych form spółżycia“. Wprawdzie przeciwnicy socjalizmu mówią, że ten ostatni wprowadza nieład, bezrząd. „Prawdziwy socjalizm — dodaje poeta — nigdy nie zachęcał do bezrządu, do rokoszów i t. p. Nie był on nigdy wrogiem władzy. On mówi tylko, że w społeczeństwie starem nie masz żadnej zasady, na której mogła by się oprzeć władza prawowita, t. j. władza, odpowiednia dzisiejszym wymogom ludzkości. Socjalizm gotów jest poddać się władzy, ale władzy zupełnie nowej“.

Mówi się wiele o upadku ładu w społeczeństwie, ale jakie są środki zaradcze? Nawet Zgromadzenie Narodowe przyznało „prawo przeczenia prawowitości ustroju starego“, ale na negacji samej nie można poprzestać. „Nie, system socjalistyczny nie jest negacją. Możecie powiedzieć, że uczucie, które jest jego zarodkiem, nie zdobyło jeszcze siły do zwalczenia tam i przeszkód, jakie przedstawia ziemia ojczysta, atmosfera planety naszej i zła wola ogrodnika urzędowego. Możecie powiedzieć, że myśl socjalistyczna nie zdobyła jeszcze tej jasności, by przedostać się do źrenicy ludzi, u władzy będących, przedstawicieli ustroju wrogiego socjalizmowi, ale nie macie prawa oskarżać socjalizmu o to, że jest negacją tylko.

„Socjalizm spółczesny jest wyrazem uczucia równie starego, jak samo życie, uczucia czegoś niezupełnego, złamanego, anormalnego, a zatem nieszczęsnego w naszem życiu. Uczucie socjalistyczne jest porywem ducha do bytu lepszego, nie indywidualnego, ale zbiorowego i solidarnego . . .

„Socjalizm, tak młody jeszcze, ma pożądania nowe i namiętności nowe, których ludzie świata starego zrozumieć nie mogą, tak samo,

jak pożądania młodzieńca są księgą zamkniętą dla dzieci lub dla starości zdziecinniałej...

„Pożądanie i namiętność nie są nigdy negacyjnemi, jeno affirmacją duszy, jak zagadnienie jest affirmacją intellektu. Dogmat jest affirmacją duszy w przeszłości, a aksiomat — affirmacją intellektu w tej samej przeszłości, podczas gdy problemat i pożądanie są affirmacjami intellektu i duszy, dążących do przyszłości.

„Społeczeństwo odumierające czepia się dogmatu i aksiomatu. Takie społeczeństwo nie chce niczego i przeczy wszystkiemu; to ono jest negacją. Wszyscy ludzie oporu legalnego albo religijnego nie byli nigdy i nie są nigdy niczem innem, jak ludźmi negacji“.

(C. d. n.). *S. M.*

Lwowskie znaki bibljoteczne.

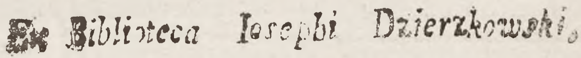
(Ciąg dalszy).

— Juljan Ursyn Niemcewicz, bawiąc chwilowo we Lwowie w r. 1820*) zauważył, że „wielu z prywatnych kocha się w naukach, posiada bibljoteki i zbiory“. Wymieniwszy galerję obrazów Dąbskiego, tak dalej pisze towarzysz Kościuszki i autor „Śpiewów historycznych“: „Największą ozdobą Lwowa jest ciągły w nim pobyt JMP. Józefa Dzierzkowskiego. Do obszernych wiadomości w naukach łączy on słodycz i łagodność charakteru. Dom jego ciągle jest otwartym, on jest pośrednikiem wszystkich sporów i w ciężkich zdarzeniach, dla każdego zdrową jest radą“.

A równocześnie kanonik Stefanowicz, późniejszy arcybiskup ormiański, powiada o Dzierzkowskim, że jest *„vir aevo nostro inter Polonos doctissimus, ac omnigenae eruditionis avidissimus“* — mężem pomiędzy współczesnymi Polakami najuczeńszym i wszelkiej wiedzy najbardziej chciwym.

Cóż to za gwiazda nauki, o której dotychczas milczą wszelkie podręczniki literatury, cóż to za mąż w onych jałowych czasach tak bardzo wpływowy?

Józef Dzierzkowski, stryj słynnego powieściopisarza, był adwokatem we Lwowie. W czasach, kiedy olbrzymie fortuny magnackie waliły się, a nowe na ich miejsca powstawały, w czasach zmiany ustroju prawnego, olbrzymich transakcji majątkowych i tworzenia się dóbr kameralnych z dawnych królewszczyzn, zawód adwokata był rentowniejszym, niż kiedykolwiek, a zawodowa uczciwość wielką cnotą obywatelską. Józef Dzierzkowski był uczciwym adwokatem, a to go wyniosło aż do godności wicemarszałka sejmu stanowego i w szeregi najlepszych obywateli. A przytem był Dzierzkowski człowiekiem światłym, zamiłowanym we wszelakiego rodzaju sztukach pięknych, które popierał i radą i, co niemniej było ważne w onych czasach, pieniądzmi. W kancelarji jego dependował późniejszy komik niezrównany Alojzy Żółkowski, a sam Dzierzkowski był inicjatorem i mecenasem pierwszego we Lwowie miesięcznika literackiego p. t. *„Pamiętnik lwowski“*, który zaczął wychodzić w r. 1816. Lubiał przytem żywot wesoły w gronie literackich lekkoduchów, z którymi razem, i z przyjacielem swoim, drugim mecenasem, Węglińskim, urządzał huczne zabawy w pałacyku tego ostatniego, zwanym od tych czasów Pohulanką.



Znak bibljoteki Józefa Dzierzkowskiego ze zbiorów Pawlikowskich.

Pracując sam nad dziejami Ormian w Polsce, gromadził Dzierzkowski rękopisy i druki do tej kwestji się odnoszące, a równocześnie zebrał olbrzymią na owe czasy bibljotekę dzieł dawnych i nowszych. Obfitowała ta bibljoteka zwłaszcza w rękopisy, które później spadkobiercy ofiarowali Zakładowi Ossolińskich. Dzierzkowski był członkiem towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie i towarzystwa naukowego krakowskiego. Umarł w r. 1830. Pozostałe po nim papiery, przechowywane obecnie w Ossolineum, są cennem źródłem dla historji galicyjskiego sejmu stanowego. Biblioteka, po długich pertraktacjach spadkowych, przeszła w posiadanie rodziny Cieńskich w Oknie, gdzie się dotąd znajduje.

Mimo dużego księgozbioru, nie posiadał Dzierzkowski ex-librisu, we właściwem tego słowa znaczeniu, a skromny znak jego bibljoteczny podajemy obok.

— Ex-libris drukowany z prostym napisem „Masoch“ zdobił medyczną bibljotekę nestora lekarzy lwowskich Franciszka Masocha (1763—

*) Niemcewicz: Podróże historyczne. Petersburg 1859, str. 383.

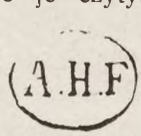
1845). Los i chęć zrobienia karjery przygnały go do Lwowa aż gdzieś z Temeszwarskiego Banatu. W r. 1793 został Masoch profesorem chirurgji na uniwersytecie lwowskim*), w r. 1806 odznaczył się podczas epidemji, brał udział w zaprowadzeniu szczepienia ospy w Galicji, był referentem biura sanitarnego, w r. 1838 obchodził 50 rocznicę swego doktoratu i umarł w 82 roku życia, jako honorowy obywatel miasta Lwowa. W profesorskiej jego karjerze nie brakło małych skandalików na tle łapownictwa.



Ex-libris Franciszka Masocha ze zbiorów Pawlikowskich.

Bibljoteka przeszła prawdopodobnie na zięcia jego, czarnej pamięci dyrektora policji lwowskiej Sacher-Masocha, a ojca niemniej osławionego powieściopisarza niemieckiego.

— Bibljoteczka Aleksandra hr. Fredry jest może jedyną, której wizerunek razem ze szafą zachował się na rycinie w „Kłosach“**). Rodzinna bibljoteka Fredrów znajduje się w Bieńkowej Wiszni koło Rudek, wielki komedjopisarz jednak posiadał w dworku swoim we Lwowie (ulica Fredrów l. 7), obecnie demolowanym, do osobistego użytku bibljoteczkę podręczną, złożoną przeważnie z dykcjonarzów i encyklopedji, w rozmaitych językach. Pierwsze miejsce zajmował tam „Słownik“ Lindego, ulubione dzieło Fredry. Do późnej starości ciągle je czytywał i nieraz, wskazując na nie, powiadał, „na tem się po polsku nauczyłem“.



Ex-libris Aleks. hr. Fredry ze zbiorów Pawlikowskich.

Mała pieczątka z literami A. H. F. była, według zapisku w zbiorach Pawlikowskich, znakiem tej bibljoteczki.

— Niezwykłym bibljofilem był Adam Junosza Rościszewski, obywatel ziemski, zmarły we Lwowie w r. 1844 w największej nędzy, w szpitalu powszechnym. Rościszewski lubił książki, ale nie zbierał ich dla siebie. Sam literat bez talentu, pisarz o stylu niejasnym i zawikłanym, miał jedną tylko ideę, której majątek poświęcił i najlepszą część życia. Był nią, bardzo szlachetnie, można powiedzieć uczuciowo, pojęty, panslawizm, z ogromną sympatją dla narodu czeskiego. W czasach, kiedy Czech-biurokrata „Precliczek“ był figurą najbardziej znienawidzoną u nas, Rościszewski lgnął do tego narodu całem sercem i utrzymywał ożywione stosunki osobiste z Kolarem, Jordanem, Zappem, Koubkiem i innymi uczonymi czeskimi, pragnął, żeby dwa bratnie narody poznały się wzajemnie, zrozumiały literaturę pobratymczą, przeszłość i t. d. W tej myśli pisywał drobne artykuły, rozprawki ekonomicznej treści, tłumaczył powiastki i poezje z czeskiego, a co najważniejsza, kupował z wielką ofiarnością książki polskie najrozmaitszej treści i wysyłał je do Muzeum narodowego w Pradze, tak, że oddział polski w tem muzeum powstał głównie jego staraniem i ofiarą. W r. 1894 wydał Edward Jelinek w „Dzienniku poznańskim“ korespondencję Rościszewskiego z bibljotekarzem praskiego Muzeum, Hanką, w której znajduje się wiele ciekawych a nieznanych szczegółów tak co do samej indywidualności Rościszewskiego, jak w ogóle do dziejów literatury polsko-galicyjskiej przed rokiem 1848 *).



Ex-libris Adama Rościszewskiego ze zbiorów Pawlikowskich.

Książki ofiarowane w darze Czechom oznaczał Rościszewski ex-librisem, pomysłu, rysunku i wykonania w *aqua forcie* Kielisińskiego i z napisem „Z ofiar Adama Rościszewskiego“. Podobiznę tego oryginalnego ex-librisu podajemy obok,

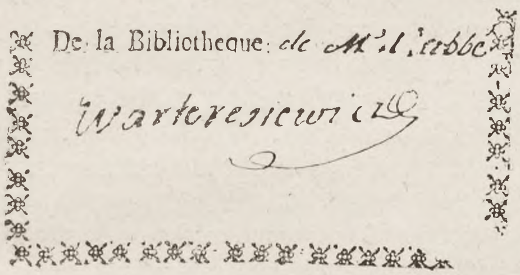
*) Finkel-Starzyński: Historja uniwersytetu lwowskiego. Lwów 1894, str. 111.

*) Rocznik 1876 Nr. 579, do artykułu „Pokój Fredry“.

*) Por. Pepłowski: Obrazy Galicji i Krakowa tom II.

a sam jego właściciel, po sprzedaniu dziedzicznego swego majątku Żurowice, osiadł we Lwowie na stałe i dalej wysyłał co lepsze wydawnictwa polskie do Pragi, nie zważając na współczesną opinję, która „maniakowi“ nie szczędziła szyderstwa i politowania. Rościszewski bowiem stracił na tej swojej ideji cały majątek i, jak wyżej wspomniano, umarł w nędzy. Pozostałe po nim książki znajdują się, w znacznej części, w bibljotece Dzieduszyckich we Lwowie.

— Ex-libris bibljoteki Kajetana Augustyna Warteresiewicza, arcybiskupa ormiańskiego lwowskiego (1755—1831), nie odznaczał się wcale artystycznym pomysłem. Drukowana etykietka z autografem właściciela, z czasów, kiedy jeszcze nie był arcybiskupem. Ks. Warteresiewicz, potomek lwowskiej rodziny kupieckiej, należał do światlejszych ludzi przy końcu ośmnastego i na początku ubiegłego stulecia. Arcybiskupem został w r. 1817, przed śmiercią zaś zapisał cały swój księgozbiór kapitule ormiańskiej*). Niestety jednak były to czasy, kiedy duchowieństwo ormiańskie nie umiało szanować skarbów przeszłości swojego kościoła na ziemiach polskich. Najdawniejsze rękopisy butwiały, albo drogą podarunków przechodziły w prywatne ręce, bibljoteka kapitulna zaś, razem z księgozbiorem ks. Warteresiewicza, zmarniała w znacznej części. W r. 1856 resztę aktów i rękopisów ormjańskich podarowano Zakładowi Ossolińskich, gdzie się dotąd znajdują.



Ex-libris arcybiskupa Warteresiewicza ze zbiorów Pawlikowskich.

(C. d. n.). *Fr. Jaworski.*

*) Barącz: Żywoty sławnych Ormian, str. 366.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

W tem uzdrowieniu myśli najłatwiejsza rola przypada Słowianom. Gdym się wychowywał, taka praca w polskiej mowie była w pełnym toku. Śniadeccy, Lelewel, Mickiewicz i wielu innych wiekopomnych mężów stworzyli to, czego się napróżno Niemcy dobijali, terminologję logicznie związaną z całą ojczystą mową, opartą głównie na ludowych pojęciach; gdyby doprowadzono ich pracę do końca, moglibyśmy teraz bezpiecznie radzić o usunięciu klasycznych języków z wychowania młodzieży, zostawiając je tylko zawodowym filologom. Czyśmy się mogli spodziewać, że po kilkudziesięciu latach znowu zmartwychwstanie ks. Chmielowski z Nowemi Atenami i że rozmaite socjologje, organizmy, egoizmy kulturalne będą zawracały głowy naszej młodzieży, ku pożytkowi nowych jezuitów i odświeżonych palestrantów? Czyśmy mogli podejrzewać, że na podstawie zupełnie niezrozumiałych wyrazów, najfatalniej przekręconych pojęć, wyrosną takie dziwotwory, jak pozytywizm, anarchizm, spirytyzm, nie mówiąc już o odnowionej i świeżo polakierowanej Eskobarskiej Kazuistyce i Akwińskiej teologji?

Klasycznych zatem języków z wychowania szkolnego zachodniej Europy absolutnie wyrzucić nie można; trzeba tylko zupełnie przerobić sposób ich nauczania, a osobliwie zniweczyć dziwaczną i z gruntu fałszywą niemiecką filologję. Trudne to zadanie, ale przy dobrej woli wszystko się da zrobić. U nas zaś, Słowian, jeśli się chcemy pozbyć łaciny i greki, które zresztą dosłownie tłumaczyć możemy, trzeba nasamprzód do szczętu usunąć wszystkie makaronizmy, osobliwie ostatniej doby — wtedy poprawa pójdzie jak po maśle.

Najwidoczniejsze złe skutki francuskiej szkolnej nauki, które zwalono wyłącznie na jezuicki klasycyzm, mają jednak inną przyczynę, nic wspólnego ze szkolną nauką nie mającą, przyczynę obyczajową i wychowawczą. Napatrzyłem się dosyć w młodości na owe braki i mogę o nich mówić z całą świadomością. Działały tu najwięcej i po dziś dzień działają we Francji: po pierwsze brak wychowania rodzinnego; po drugie zamknięte zakłady wychowawcze dla obojga płci,

żywcem wzięte od jezuitów, których niedostatki ściśle się łączą z bezżeństwem duchowieństwa.

O tych ostatnich nie będę się rozwodził, bo ich wpływ ujemny dostatecznie jest w Polsce znany. Ale nie wiedzą zapewne u nas o francuskiem życiu rodzinnem, mianowicie w średnich i wyższych warstwach ludności. Tam istnieje dotąd odwieczny obyczaj, nader szkodliwy, że m a t k a d z i e c i n i e k a r m i, tak, że się wyrobiło pojęcie, u nas zupełnie nieznane, braci mlecznych *(frères de lait);* przeciw takiemu bezprawiu powstawał jeszcze najenergiczniej Russo, ale wykorzénić go nie mógł. Kto zatem mamki trzymać nie może lub nie chce, oddaje dziecko na wieś, do chłopskiej żony; wiemy aż nadto, jakie są skutki takiej metody, używanej u nas wyłącznie dla dzieci nieprawego łoża. Rodzina mieszczańska nie ma we Francji dla dzieci pomieszczenia i skoro wrócą od mamek, oddaje się je jak najprędzej do zamkniętego zakładu, do internatu. Kiedy nawet szkoła, jak nasz *Collège Bourbon*, nie jest internatem, istnieją pomocnicze zakłady prywatne, *pensions, institutions*, z których uczniowie uczęszczają do gimnazjum; miałem i ja być parę lat w takim internacie.

W tem, a nie w czem innem, leży główna przyczyna wyższości wychowania młodzieży w krajach protestanckich. Zamknięte zakłady wszędzie istnieją, ale nigdzie nie są tak powszechnie w użyciu, jak we Francji i nigdzie nie są tak niewolniczo urządzone. Dodajmy do tego systematyczną „abstynencję“ z powodów czysto pieniężnych i nie dziw, że jeden z najpiękniejszych i najszczęśliwiej położonych krajów na świecie wyludnia się powoli i jeszcze by bardziej opustoszał, gdyby nie napływ cudzoziemców, tak wstrętnych dla każdego prawowitego Francuza *étrangers*..

V.

Mieszkaliśmy, jakem mówił, przy ulicy *des Carrières* (kamieniołomów), tak zwanej, bo prowadziła do starych łomów, znajdujących się pod Montmartskim pagórkiem *(butte Montmartre)*, ale wówczas już zarzuconych; pozostała się ogromna jaskinia, przytułek dla nocnych włóczęgów. Kamienica nasza, pod liczbą 7, należała do nowego typu, który się teraz rozpowszechnił w całej Europie; nie będę jej więc opisywał. Zaznaczę tylko, że dla zachęty lokatorów wynajmowano nam niby ogródek, długi na kilka kroków; każdy lokator miał taki zakątek, z resztkami jakiegoś dawnego sadu. Mieszkaliśmy na trzeciem piętrze i długi balkon, raczej ganek, jak w naszych oficynach, pozwalał mieszkańcom wyglądać na ulicę. Taka była różnica między naszym domem a przeciętną dzisiejszą lwowską kamienicą, że był on prawdziwie z kamienia, a nie z cegieł, z gipsowemi przepierzeniami, bez pieców, rozumie się, i że w połowie pokoi, n. p. w kuchni, podłogę zastępowała ceglana posadzka, bardzo skuteczna dla krzewienia suchot. Oprócz kominków, fatalnie dymiących i mało grzejących (była jednak angielska kuchnia, dla mnie, Bretończyka, wielka nowość), jeden sprzęt zdziwiłby mocno polską gospodynię: był to *filtr*, ogromna gliniana łagiew, do której co dzień woziwoda *(porteur d'eau)* wlewał mętną ciecz, czerpaną w Sekwanie, a która bez tego oczyszczenia byłaby zupełnie nie do użytku. O wodociągach jeszcze wówczas nie było mowy i wodę rozwozili po całem mieście tędzy Owerniacy, nosząc za parę *susów* swoje kubły z koromysłem aż na piąte i szóste piętro. Wyżej od nas, na strychu, znajdowały się komórki dla służących, bo już w owych czasach służba nie sypiała we Francji po kuchniach i przedpokojach, jak się to u nas dotychczas powszechnie praktykuje.

(Dok. nast.).

PIOTR ROSEGGER.

Tomasz i jego nieszczęście.

Tomasz Landstetter jechał gościńcem na małym, jednokonnym, styryjskim wózku. Lipcowy dzień był duszny i upalny, nad górami wisiały ciężkie, deszczowe chmury. Jedyny jasny obłok, co jak bajeczny, niebosiężny szczyt śnieżycy sterczał wśród doliny, kładł płowe blaski na ocieniony wąwóz; a od światła tego wlókł się za wozem i koniem leciuchny cień. Wysoko, na zboczach gór wierzchołki sosen uderzały o się wzajem, na drodze zrywał się tylko chwilami powiew wiatru, niosący woń dymu i podnoszący zuchwale tumany kurzu.

Tomasz śmigał batem w powietrzu, aby szkapina szybciej kłusowała. Zupełnie słusznie obawiał się burzy, gdyż wózek nie miał nakrycia a obok niego kuliła się, okryta derką, jego młoda, chora żona. Pogoda tego lata była pustynna, a słyszał po drodze, że coś niedobrego zdarzyło się w

dolinie rzeki Hilm, ku której zdążał. Woda, płynąca z tej jego rodzinnej doliny, toczyła się ciężko i zwolna, zalewając brzegi pełnemi mułu falami, zostawiając po łąkach suche gałęzie, korę drzew i kawałki drzewa. Przed dwoma dniami wyjechał z Otylją z Altlechen, w dolinie Hilmu, do Schellbad w nizinach, aby tam uczestniczyć w smutnym obrzędzie. Pogrzebali tam ojca żony, właściciela włości. A w kilka godzin po pogrzebie, gdy Otylja na wóz wsiadać miała i chciała jeszcze tylko przed drzwiami domu silniej związać węzełek, upadła bezwładna, jak kłoda. Tomasz chwycił ją w ramiona, ale jej zwisły ręce i głowa, w pół otwartych oczach widać było tylko białka, a w zaciśniętych wargach ukazała się piana. Otaczający ich sąsiedzi poczęli już szeptać, by zakrystjan dzwonił w żałobne dzwony, gdy nagle oddech zaczął jej wracać, przyszła do przytomności, przetarła ręką twarz i spojrzawszy zdziwiona swemi dużemi oczami na męża, spytała: „Co się stało? Czy ja spałam?“ — Przyszło później Tomaszowi na myśl, jak mu było dobrze w owej chwili. Nie zdawał sobie sprawy, czuł tylko, że był wtedy zupełnie jak z kamienia. — Do serca doszło dopiero wtedy, gdy ona już przyszła do siebie, a ludzie tu i ówdzie powtarzali, że ta kobieta jest godna pożałowania, bo ma „rzucającą słabość“. Była to nawet jego własna myśl pierwsza: epilepsja! Ilu tylko ludzi mógł sobie przypomnieć, u których widział padaczkę, to było tak samo. Napad żalu z powodu śmierci ojca był zapewne przyczyną, a teraz będą się napady od czasu do czasu powtarzały.

„Teraz możesz, chłopie, Boga o wytrwałość prosić, teraz spadł na cię z nieba ciężki krzyż!“ Tak mówił miejscowy grabarz wysokim, delikatnym głosem, gdyż jako jedyna obecna urzędowa osoba uważał sobie za obowiązek powiedzieć jakieś ważne słowo i dodać biednym ludziom chrześcijańskiej otuchy. Kilka sąsiadek potakiwało mu: kto raz dostał tej strasznej choroby, musi z nią iść do trumny. Przy każdem zdarzeniu, przy każdej radości i każdym smutku przyjdzie atak i biedna kobieta będzie miała pokaleczone wargi przez całe życie i guzy na głowie od upadku i usta wykręcone od konwulsji! Najlepiej jeszcze za każdym razem odgiąć jej wielki palec i napluć w dłoń, aby przynajmniej zły duch nie miał do niej przystępu.

Z taką pociechą Tomasz odjechał; obok niego leżała żona nieco drżąca i umęczona. Żeby mógł ją tylko szczęśliwie dowieźć do Altlechen, tam przy ognisku domowem, w sąsiedztwie mądrego doktora Baldmanna będzie się lepiej czuła. Ale to wszystko o kilka godzin odległe, a burza już nadciągająca ciąży nad górami, jak troska na sercu. Żeby przynajmniej jeszcze do gospody w Brühl dotarli! Zanim tam dojechali, spotkali dwóch żandarmów, prowadzących jakiegoś mężczyznę. Ręce miał związane na plecach, a brunatny kapelusz silnie zaciśnięty na oczy. Tomasz popatrzył na niego, wykonał jakieś żywe poruszenie i znowu usiadł. Kobieta odsunęła chustkę i rzekła: „to doprawdy śmieszne!“

„Jest ci lepiej, nieprawda?“

„Ale takie podobieństwo. Możnaby myśleć, że ten, co go prowadzą — jakby to to był twój brat, Ignac.“

„Wpadło ci to także na myśl?“ zawołał Tomasz zdziwiony. Zresztą ani słowa nie dodał, bo zaczęły padać duże krople. Co to może być? Co się tam stało? Bo to był on z pewnością. Odwrócił się przecież, gdy nasz wóz zobaczył. Zły jest, czy co — że nie może mi w oczy popatrzyć. Mogło mi się tylko zdawać. Nie byłoby o czem myśleć.

W końcu przybyli do gospody w Brühl, zastali nieporządek i zamieszanie. Parobka nie można było znaleźć, skierował tedy Tomasz pod szeroki dach szopy, zniósł żonę z wozu i podpierając ją, prowadził zwolna do domu.

„Tak spokojnie sobie jedziesz, czy co?“ Temi słowy powitał go gospodarz, pędząc z głośnem sapaniem od drzwi do drzwi. „W dolinie Hilmu ma strasznie wyglądać. Prawda to? Czy to rzeczywiście prawda, że całe Altlechen zasypane?“

„Co ty pleciesz? O niczem nie wiem, wracam z nizin. Co wiesz, gospodarzu? Opowiadaj!“

Oberżysta w Brühl wiedział bardzo wiele. Wszyscy, którzy w tym samym dniu przybyli w dolinę Hilmu, opowiadali i nie mogli się dość naopowiadać. Pierwszy wiedział, że góra się usunęła i pogrzebała całą wieś, następni mówili, że Altlechen poprostu przestało istnieć. „Jaka góra się usunęła? Co przestało istnieć? wołał Tomasz gwałtownie, ale gospodarz niczego więcej nie wiedział. — „A mój brat, owczarz?“ — „A, Ignac, trudno uwierzyć temu, co opowiadają. Miał zabić swego sąsiada.“ — „Jakiego sąsiada? Kiedy? Za co?“ Szczegółów oberżysta nie znał. Ludzie się tak strasznie spieszyli, bali się, że jezioro wystąpi z brzegów i zatopi całą dolinę wraz z gościńcem. — „Jakie jezioro?“ — No to zna-

czy, że góra upadając, rozprysnęła wodę; powyżej gdzie leżało Altlechen, zbiera się jezioro i gdy pęknie tama, cała dolina aż do Brühlu znajdzie się w największem niebezpieczeństwie. On, gospodarz, obserwował strumień, który rano był tak mały, że pstrągi leżały na piasku, zdychając z pragnienia. Od jakiej godziny wzbiera woda niesłychanie szybko i gdy jeszcze zerwie się burza, niewiadomo, co będzie. — Tyle oberżysta. Dłużej nie mógł ustać na miejscu, biegał szybko po całem domostwie, krzycząc na parobków, którzy przenosili sprzęty do zabudowań, wyżej leżących. Gospodyni stękając dźwigała srebro, składając je w ogromnym koszu, a dwie dziewki wypędzały z obory krowy i cielęta i pędziły je w góry.

Tomasz, gospodarz z Altlechen, stał skamieniały.

„W tym domu są sami warjaci!“ odezwała się jego żona z rezygnacją „jedźmy Tomaszu, do domu. Popatrz, deszcz nie jest znów tak straszny.“

Spojrzał na nią. Wyglądała zupełnie tak, jak przed chorobą, nie była prawie całkiem przestraszona. Tam, gdzie wszyscy drżą ze strachu, ona była spokojna. I napad nie przyszedł.

Ale może przyjść, myślał Tomasz, nie można być pewnym ani chwili. Nieszczęście za nieszczęściem! Tak wielkie, że żaden człowiek wyobrazić sobie nie może. I to ta choroba ma zostać? A, to wszystko jedno, niema domu, czeladzi, mienia, możemy i my zginąć, niech się wszystko razem zapadnie! „Dobrze, Otyljo, jedźmy!“ — Rozpętane wody zrobią z nami prędki koniec. Tak najlepiej: nie chcę nic widzieć i o niczem słyszeć. Wszystko razem jest jedno ścierwo — w takie straszne zwątpienie popadł gospodarz z Altlechen.

Należne pieniądze rzucił na stół. Niedopite wino zostawili w szklankach, wsiedli na wóz i pojechali. Padał drobny deszczyk, tak, że ślizka droga połyskiwała, w lesie było spokojnie, wśród usuwających się chmur przeglądało niekiedy błękitne niebo. Pachniały jodły.

Tomasz poganiał konia gwałtownie, choć ten gonił ostatkami sił. Żona położyła mu rękę na ramieniu: „Nie siłuj go, Tomaszu, patrz, on już nie może prędzej.“

„Niech go djabli wezmą!“ mruknął, „niech wszystko razem djabli wezmą!“

(Dok. nast.). *Tłum. K.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Medale Jagiellonów, zebrał i opisał Marjan Gumowski. Kraków. 1906. Dzieło w całem tego słowa znaczeniu piękne. Autor, młody adjunkt „Muzeum narodowego“ w Krakowie, jest dziś jednym z najlepszych znawców numizmatyki, rycin i medaljerstwa polskiego. Nic zresztą dziwnego. Pan Gumowski jest uczniem Władysława Bartynowskiego, sam przytem ogromnie zdolny i z zapałem się swemu kierunkowi studjów oddający. Wzbogacił literaturę polską w dzieło jedyne w swoim rodzaju. Po raz pierwszy bowiem zebrane są tutaj medale Jagiellonów czesko-węgierskich, oraz medale Jagiellonów polskich od Zygmunta I. począwszy, w prześlicznych reprodukcjach wraz z objaśniającym tekstem, opracowanym naukowo, w sposób, który młodemu uczonemu prawdziwy przynosi zaszczyt. Obok bowiem numizmatycznego opisu każdego medalu z osobna, omówił autor każdy z nich pod względem historycznym i artystycznym, krótko, zwięźle, a z wielkiem natomiast bogactwem szczegółów. W ten sposób znalazło tu pomieszczenie 55 medali Jagiellonów czesko-węgier., zebranych po większej części z różnych zbiorów obcych, 62 medali Jagiellonów polskich, oraz 80 medali, których zachowały się rysunki i opisy, których jednak autor w żadnym zbiorze odszukać nie zdołał.

Trudno w krótkiej notatce wymienić wszystkie zalety dzieła p. Gumowskiego, są one jednak istotne i wielkie a samo dzieło jest nieocenionym przyczynkiem do dziejów kultury polskiej, jest pięknym liściem wawrzynu, rzuconym na groby wielkiej dynastji polskiej. *Fr. J.*

Poradnik językowy. W roku ubiegłym omówiono w „Poradniku“ około 500 wyrazów i zwrotów wątpliwych. Oprócz tego dał „Poradnik“ w ciągu roku wiele artykułów traktujących o poprawności języka, a w ostatnich miesiącach zajmujące „Pokłosie“ z pism i dzieł, t. j. błędy stylistyczne i ortograficzne. Należy wyrazić nadzieję, że redakcja tego pożytecznego, jedynego w tym rodzaju w Polsce pisma skupi około siebie ogół językoznawców i zawodowych badaczy na tem polu. *K. Kr.*

NOTATKI.

Z zabytków. W Bóbrce, przy przenoszeniu przedmiotów ze starej cerkwi do nowej, natrafiono na bardzo ładną rzeźbę Matki Boskiej, którą odczyszczono, o ile możności i umieszczono wysoko w nowej cerkwi. Statua zrobiona jest z drzewa lipowego, z jednego kawałka, wysokości 2·20 m., bardzo dobrze zachowana, przedstawia Matkę Boską, depczącą głowę węża, którego sploty objęły kulę. Statua jest w stylu barokowym z wyrytym rokiem „1627“ w sukience srebrnej, o zasłonie złotej. Wedle opowiadania miejscowego, miała być statua przyniesiona z klasztoru monasterskiego, stojącego na polu, prowadzącem do Strzałek, a dziś zwanem jeszcze „monaster“. *Karol Notz.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ „we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.